



12, 47, 61 Wszystkie sprawy Kościoła



20 Platforma lewicy



84 David Bowie – pan zmian



100 Tychy zwalniają

TEMATY
TYGODNIA

- 12 Łukasz Wójcik
Geopolityka Watykanu
16 Edwin Bendyk,
Jacek Żakowski
Wszyscy jesteście gejami

POLITYKA

- 20 Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka **Lewicowa
alternatywa dla Tuska**

KRAJ

- 24 Joanna Cieśla
Na urlopie tacierzyńskim
27 Juliusz Cwieliuch
**Elektroniczny dozór
więźniów – czy to się
sprawdza**
32 Ryszarda Socha
**Puckiej tragedii
ciąg dalszy**

RYNEK

- 36 Joanna Solska **Afera mięsna**
39 Adam Grzeszak
**Czy film „Promised Land”
zaszkodzi naszym
firmom gazowym**

ŚWIAT

- 44 Piotr Kowalczyk **WŁOCHY
Poważny sukces
komika Grillo**
47 Adam Krzemiński **NIEMCY
Ratzinger
przyspieszył laicyzację?**
50 Maciej Okraszewski **JAPONIA
Z elektrowni atomowych
zyski czerpie... mafia**

HISTORIA

- 52 Jan Olaszek
**Marcowe sposoby
na opozycję w PRL**
55 Ludwik Stomma **50 lat temu
OAS przegrała wojnę
o Algierię francuską**

NAUKA

- 58 Michał Różyczka
Atak komet
61 Edwin Bendyk
**Benedykt XVI nie pomógł
Kościołowi pogodzić się
ze współczesną nauką**

PORADNIK
ZDROWIE

- 64 Paweł Walewski
Życie po menopauzie

KULTURA

- 72 Rozmowa z **Marcinem
Dorocińskim**, laureatem
Paszportu POLITYKI
w kategorii film
75 **KAWIARNIA LITERACKA**
Krzysztof Siwczyk
76 Piotr Sarzyński
**Ranking budynków
niedokończonych**
80 Bartek Chaciński
Głośna sztuka hałasu
83 **MEA PULPA**
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

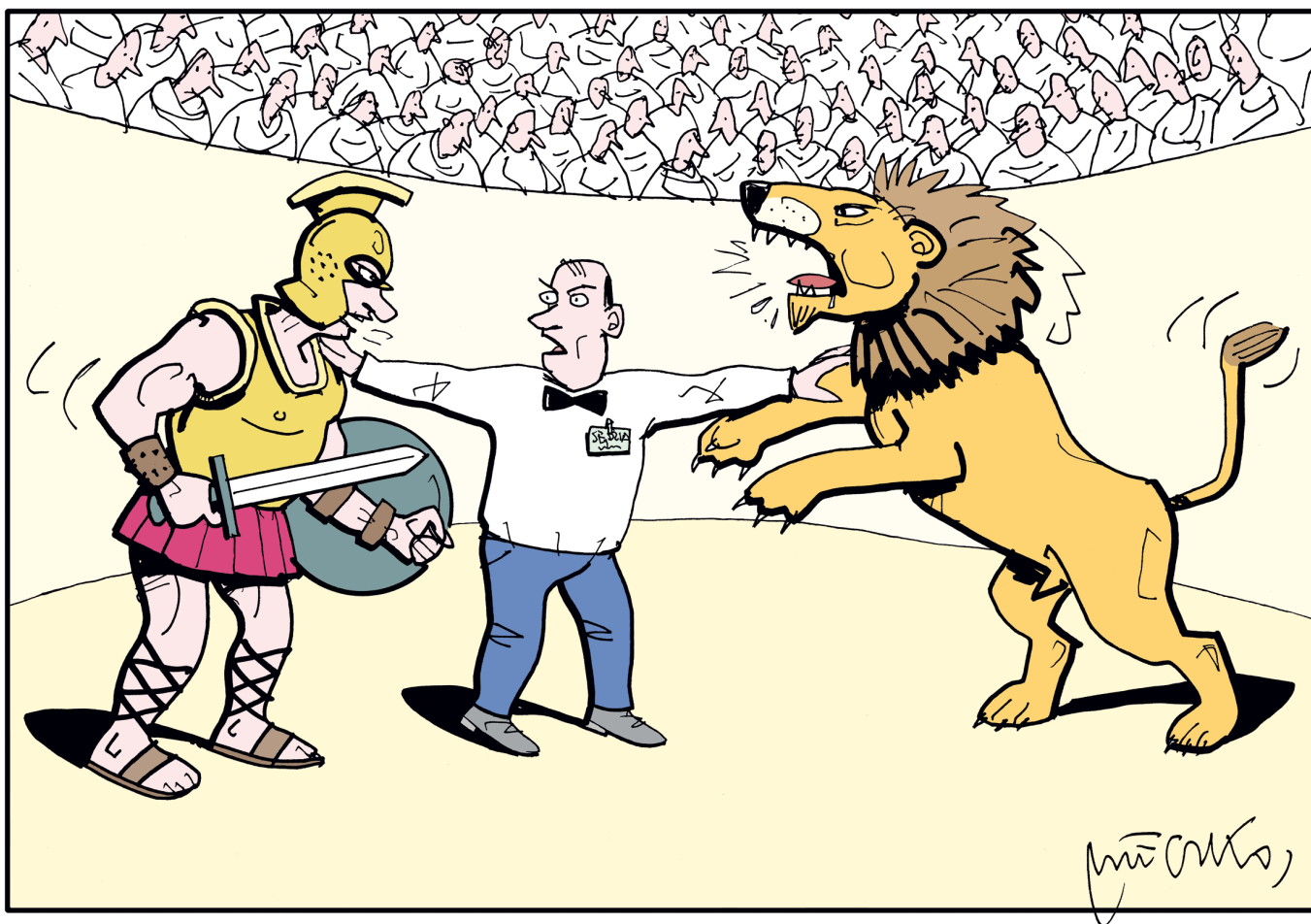
- 84 Jarek Szubrycht
Kameleon Bowie
88 Rozmowa z **Elizą Michalik**,
dziennikarką Superstacji,
o zmianie poglądów
i wolności słowa
91 Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM
Postne obżarstwo
92 Piotr Pytlakowski
Chłopiec z zapalkami

NA WŁASNE OCZY

- 100 Marcin Kołodziejczyk,
fotografie Stanisław Ciok
**Tychy zaatakował
kapitalizm**

STAŁE RUBRYKI

- 5 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie
i wydarzenia • 68 Afisz • 94 Hartman
• 95 Do i od redakcji • 96 Passent
• 97 Tym • 98 Fusy, plusy
i minusy • 106 Polityka i obyczaje



ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Inicjatywy patronackie

Trwa dyskusja, kto powinien lub nie powinien temu czy tamtemu patronować. Instytucja patrona przeżywa ostry kryzys, dzisiejsi patroni to często ludzie wczorajsi, którzy do patronowania się nie nadają np. z powodu niewłaściwych życiorysów lub szkodliwych poglądów. Ponieważ niektóre z tych osób od dawna nie żyją, szansa na to, że zmieniają poglądy na takie, dzięki którym w dalszym ciągu będą się nadały na patronów, jest niestety niewielka. Potrzeba nam patronów dla przedszkoli, szkół, mostów, stadionów, a nawet list wyborczych do europarlamentu. Rozchwytywani są zwłaszcza kandydaci zmarli, o których wiadomo, że patronowania nie odmówią. Niestety, pula tych kandydatów jest ograniczona, dlatego coraz chętniej sięga się

po osoby jeszcze żyjące. Niektórzy śmiało sięgają po samych siebie, np. Janusz Palikot, który z powodu braku lepszych kandydatów postanowił osobiście zostać patronem ruchu swojego imienia, co wywołało ostry sprzeciw polityków PiS.

Nie jest to zresztą jedyny patron, jaki nie podoba się PiS. Radni tej partii alarmują, że w Warszawie wszędzie roi się od podejrzanych patronów ulic. Na piśowskiej liście, sporządzonej na podstawie zasobów IPN, znalazło się 16 nazwisk skompromitowanych patronów, uwikłanych „w działalność antypaństwową wobec marszałka Józefa Piłsudskiego, sprzyjanie Sowietom, a także aktywność w czasach stalinowskich”. PiS zabiega o wprowadzenie na ich miejsce ludzi zaufanych, lepiej nadających się do patronowania. Kilka miesięcy temu wiceprezes PiS Mariusz Kamiński wydał okólnik nakazujący stołecznym działaczom rozpoczęcie poszukiwań nowych kandydatów i przesyłanie ich danych osobowych do partyjnej centrali. Miejsmy

nadzieję, że jakieś godne zaufania i w nic nieuwikłane osoby uda się w zasobach IPN znaleźć.

Patronów zmieniają także niektóre urzędy. Premier Tusk nadał niedawno stanowisku ministra spraw wewnętrznych imię i nazwisko prawnika wielkiego pisarza Henryka Sienkiewicza. Nowe imię i nazwisko ma otrzymać również minister sprawiedliwości. Wprawdzie kilka dni temu premier zdecydował, że na razie urząd ten będzie nadal nosił imię Jarosława Gowina, ale wiadomo, że w przyszłości wołałby kogoś o imieniu, nazwisku i poglądach bardziej przystających do dzisiejszych czasów.

O Jarosławie Gowinie mówi się z kolei, że w nieodległej przyszłości mógłby zostać patronem odnowionego PiS. Na razie jest to wprawdzie nadal partia imienia i nazwiska Jarosława Kaczyńskiego, ale coraz częściej słyszy się, że patron ten, z powodu zbyt silnego uwikłania w głoszone przez siebie poglądy, dojrzał już do wymiany.



© REUTERS/FORUM

W obronie muru

Od kilkunastu dni przeciw wyburzeniu zachowanego fragmentu muru berlińskiego, który jest jednym z najbardziej znanych symboli miasta, protestuje kilkaset osób. Buldożery usunęły już duże fragmenty East Side Gallery, pokrytego politycznymi obrazami światowych artystów, najdłuższego zachowanego fragmentu umocnień granicznych oddzielających wschodnią i zachodnią część Berlina. Między murem a Szprewą ma powstać nowoczesny 14-piętrowy wieżowiec z luksusowymi apartamentami, podziemnym parkingiem i biurami. Działki budowlane nad Szprewą należą do najbardziej pożądanych w stolicy Niemiec. Planuje się tu także budowę



© APPEAST NEWS

hotelu i biurowca. Przeciwnicy zburzenia muru zebrali już 50 tys. podpisów. W niedzielę w tej sprawie protestowało blisko 10 tys. osób. Prace wstrzymano, ale szanse na wygraną są jednak niewielkie. Wykonawca zobowiązał się za to do ustawienia usuniętych fragmentów muru w innym miejscu. W 2008 r. East Side Gallery została odnowiona kosztem 2,2 mln euro.

Czarne dziury mniej czarne

Oficjalna gazeta „China Youth Daily” poinformowała o wyroku pekińskiego sądu, który skazał na kary więzienia 10 osób z obsługi nielegalnej „czarnej dziury”. Chodzi o półtajne ośrodki, zorganizowane w Pekinie przez poszczególne chińskie prowincje, które odbierają (i wysyłają do domu) swoich obywateli zatrzymanych w stolicy. Takich, którzy przyjeżdżają tu po sprawiedliwość, do centralnego biura skarg. Najczęściej dotyczą one krzywd przy wywłaszczaniu z ziemi, nadużyć władzy i korupcji. A Pekin, tradycyjnie, traktowany jest jako ostatnia deska ratunku. Z kolei dla lokalnych władz rozmaitych szczebli takie skargi to, tradycyjnie, oczernianie w stolicy i plama na reputacji. Dlatego próbują na rozmaite sposoby skarżących się zastraszyć. Taką funkcję pełni właśnie „czarna dziura”, część obsługiwana jest resztą przez prywatne firmy ochroniarskie i skupia setki pracowników, bo i skarżących się są tysiące i szybko ich przybywa. Tym razem się wydało, bo odesłani do domu szybko wrócili do Pekinu i złożyli (skuteczną, o dziwo) skargę na policję. Uwolniono przy okazji innych przetrzymywanych tam współrodaków z prowincji Henan.

Sprawa, podjęta przez inne media oraz szeroko kolportowana przez blogerów, nabrała nadszpejowanego rozgłosu. Co wskazywałoby, że nowe władze, w ramach ogólnych porządków, chcą z tym coś zrobić. Częścią problemu są reedukacyjne obozy pracy, laojiao. Trafia tam wielu niepokornych obywateli, skazywanych za zakłócanie porządku publicznego. Wyroki, poza systemem jurysdykcji, wydają lokalne służby porządku. Niedawno głośna była sprawa 80-letniego Liu Chunshana z prowincji Lianoning, skierowanego do obozu pracy, który po tygodniu trafił do szpitala. Okazało się, że został skazany na reedukację za zakłócanie porządku publicznego i że wcześniej odbył 37 podróży na skargę do Pekinu.

Odcinanie złotych spadochronów

Wawrzyniec Smoczyński



Wniedzielnym referendum Szwajcarzy przegłosowali ograniczenie wynagrodzeń dla zarządów firm z siedzibą w ich kraju. Od przyszłego roku o zarobkach szwajcarskich prezesów będą decydowali akcjonariusze, nielegalne będzie też przyznawanie premii przy zatrudnianiu i odejściu. Zwłaszcza te ostatnie budziły w ostatnich latach kontrowersje – szereg razy prezesi tonących banków i korporacji schodzili z pokładu z wielomilionowymi odprawami, bo tak mieli zapisane w kontraktach. Większość krajów europejskich podejmowała próby ograniczenia tych praktyk, ale inicjatywy padały pod presją lobbingu samych zainteresowanych. W Szwajcarii pomógł system referendalny – ograniczenie płac poparło 68 proc. obywateli. Era złotych spadochronów kończy się tak-

że w Unii. W ubiegły czwartek Parlament Europejski niespodziewanie uchwalił odgórne limity płac prezesów – premie nie będą mogły przekraczać jednokrotności, a za zgodą akcjonariuszy dwukrotności pensji podstawowej. Ucierpią zwłaszcza bankowcy z londyńskiego City, którzy wzorem kolegów z Nowego Jorku odbierają dziś większość płacy w postaci premii. David Cameron zamierza oprotestować limity na szczycie Unii, ale raczej nie znajdzie ochotników do obrony praw uciśnionych prezesów. Europejczycy przywódcy są szczęśliwi, że Strasburg uchwalił to, czego sami nie byli w stanie przegłosować, a czego domagają się ich obywatele. Banki straszą emigracją do Ameryki i Azji, ale po ciachu przyznają, że im się to nie opłaca.

Ministerstwo przyszłości

Dennis Rodman odwiedził Koreę Płn. Emerytowaną i skandalizującą gwiazdę ligi NBA zaprosił dyktator **Kim Dzong Un**, prywatnie wielki miłośnik koszykówki. Wizyta zupełnie odwróciła uwagę od Korei Płd., gdzie nowa pani prezydent Park Geun-hye w orędziu telewizyjnym przeproszała Koreańczyków za – jak to ujęła – bezprecedensowy w historii kraju pat polityczny. Park Geun-hye rządzi od 25 lutego (na jej inauguracji wystąpił m.in. raper PSY, autor internetowego przeboju „Gangnam Style”), ale nie potrafi powołać rządu. Pani Park potrzebuje głosów opozycji w parlamencie, by przymusić swój flagowy projekt: ministerstwo przyszłości, tworzenia i nauki, w którym ma bić serce koreańskich innowacji. Ale opozycja zobaczyła w ministerstwie, a przede wszystkim

w pomysł podporządkowania mu mediów, sposób na skrępowanie demokracji. Takie oskarżenia budzą w Koreańczykach automatyczne skojarzenia z ojcem pani Park, wieloletnim dyktatorem.

Południe pilnie potrzebuje rządu. Potrzeba nagli, bo koreańska gospodarka, czwarta największa w Azji i 12 na świecie, zwalnia i nie widać szybkich sposobów na ożywienie słabnącego eksportu. Na dłuższą metę koreański cud gospodarczy ma podtrzymać ultranowoczesny przemysł, ale dziś rosną obawy, czy zadłużeni po uszy Koreańczycy dadzą radę dalej spłacać swoje kredyty. Poza tym młody Kim Dzong Un z Północy zdradza fascynację nie tylko koszykówką, ale także rakietami dalekiego zasięgu, dopiero co przeprowadził próbę nuklearną i straszy wojną.



© AP/EAST NEWS



© AP/EAST NEWS

Etiopczycy już wybrali

Katolicy czekają na konklawe, tymczasem swojego nowego patriarchę, nazywanego Abuną, wybrał 40-milionowy etiopski Kościół ortodoksyjny. **Abuna Maciej**, którego intronizowano w pierwszą niedzielę marca w katedrze św. Trójcy w Addis Abebie, ma 71 lat i większość dorosłego życia spędził za granicą, ostatnio był arcybiskupem w Jerozolimie. Inaczej niż w przypadku konklawe wyniki wyborów są jawne, stąd wiadomo, że Maciej miał czterech kontrkandydatów i zdobył 500 z 806 głosów, a w głosowaniu – oprócz przedstawicieli Kościoła etiopskiego – brali udział m.in. wysłannicy Kościoła koptyjskiego. Oba Kościoły do 1959 r. miały wspólnego patriarchę i Maciej jest dopiero szóstym abuną z kolei, chociaż stoi na czele jednego z najstarszych Kościołów chrześcijańskich. Etiopie już w IV w. chrystianizował św. Frumencjus z Tyru, którego statek podczas rejsu do Indii rozbił się na wybrzeżu Morza Czerwonego. Kościół etiopski w liturgii posługuje się gyyz (etiopskim językiem literackim, w czym jego rola podobna jest do łaciny w dawnej Europie) i zachował też wiele obrzędów starotestamentowych, m.in. obrzezanie.

Teraz Miguel

Bracia Castro wybrali wreszcie następcę? Wcześniej też wielokrotnie mieli swoich faworytów do objęcia schedy, ale prędzej czy później kończyli oni w niełasce, oskarżani o nadmiar ambicji. Najbardziej wyróżniający się z nich Roberto Robaina, swojego czasu minister spraw zagranicznych, dziś prowadzi w Hawanie własną knajpę, Chaplin's Cafe. Ale teraz to już chyba na poważnie. 52-letni **Miguel Diaz-Canel** uzyskał publiczne wsparcie samego Fidela Castro, który z tej okazji złamał wielomiesięczne milczenie, a brat Raul wyłożył karty na stół: to jest ten. Spokojnie, nie za szybko. Wcześniej 81-letni Raul chce odsłużyć drugą pięcioletnią kadencję prezydencką, na którą właśnie został wybrany. Diaz-Canel został jego zastępcą.

Znawcy tematu twierdzą, że Diaz-Canel stylem bardziej przypomina Raula niż Fidela. Nie ma charyzmy wodza i oratorskich talentów, sprawdza się za to w mniejszych grupach. To pragmatyczny technokrata, z wykształcenia inżynier elektryk, szachista, rowerzysta, miłośnik Beatlesów, który spędził 30 lat na różnych szczeblach partyjnego aparatu, zanim został ministrem szkolnictwa wyższego i wicepremierem. W styczniu wysłano go w zastępstwie braci do Caracas na wiec wsparcia dla chorego Hugo Cháveza (rzucił tam hasło: „Wszyscy jesteście Chávezami”). Od rozwoju sytuacji w Wenezueli, która jest głównym sponsorem Kuby, będzie wiele zależało. Rynkowe reformy nieco przystopowały, a na nowe liberalne kroki nie ma pomysłu. „Nie zostaje prezydentem, aby wprowadzić na Kubie kapitalizm” – mówił Raul podczas swojej drugiej inauguracji. I akurat tego słowa chyba dotrzyma.



© REUTERS/FORUM



© EAST NEWS

komentarz

Co zrobić z Dominiką

Martyna Bunda

Raj podrożał

Obywatelstwo maleńkiej karaibskiej Dominiki kosztuje 100 tys. dol. Na sąsiednich Saint Kitts i Nevis trzeba już zapłacić cztery razy tyle, za to z paszportem tego państwa można bez wizy podróżować po 139 krajach świata, w tym całej Unii Europejskiej, a wyrobienie wszystkich dokumentów zajmuje niecałe trzy miesiące. Programy typu „paszport za inwestycje” istnieją w wielu krajach, ale z reguły trzeba wyłożyć znacznie większe pieniądze. Na Antylach robią to na wyścigi, bo cały region tonie w długach, a Karaiby zamieniają się w Grecję zachodniej półkuli. Jamajka ogłosiła właśnie, że przeprowadzi już drugą restrukturyzację długu w ciągu trzech lat: obecnie wynosi on 140 proc. PKB (jeden z najwyższych na świecie). Po takie same środki musiały też sięgać Antigua i Barbuda oraz wspomniane Saint Kitts i Nevis, którego rząd w zeszłym roku oddał wierzycielom setki hektarów państwowej ziemi w zamian za darowanie

333 mln dol. długu. We wrześniu Granadzie nie udało się spłacić obowiązkowej raty o wartości 193 mln dol., a Bahamy zamknęły 2012 r. z dwukrotnie większym deficytem, niż zakładały. Bieda fatalnie odbija się na bezpieczeństwie: Karaiby są jedną z głównych dróg przerzutowych kolumbijskiej kokainy do Stanów Zjednoczonych, a pozbawiona pracy młodzież chętnie przystępuje do zajmujących się przemytem gangów. Turystyczny raj jest też w światowej czołówce brutalnych zabójstw.

Żeby znaleźć brakujące pieniądze, Jamajka wprowadziła podatek od rozmów telefonicznych, Saint Lucia pierwszy w historii podatek obrotowy, a podatku dochodowego na Bahamach nie wprowadzono w zeszłym roku tylko z powodu katastrofalnego ataku huraganu Sandy. Najdalej idzie rząd Kajmanów, który planuje ostro zwiększyć koszty rejestracji zagranicznych przedsiębiorstw, traktujących region jak podatkowy raj – tylko w tym malutkim państwie formalne siedziby ma ich już prawie 11 tys.

Portugalia kipi

W Portugalii, która oszczędza, wyprzedaje swoje najważniejsze państwowe przedsiębiorstwa i zaprasza obcokrajowców z byłych kolonii, żeby w zamian za portugalskie obywatelstwo inwestowali i kupowali na miejscu ziemię, bezrobocie w ostatnim kwartale 2012 r. i tak sięgało niemal 17 proc. Co dwudziestemu Portugalczykowi nie należą się już żadne zasiłki ani świadczenia. Dlatego Portugalia, którą przedstawiciele trojki chwala za to, że najlepiej ze wszystkich objętych programem ratunkowym krajów wypełnia unijne zalecenia, buntuje się i nie chce dłużej oszczędzać w tak zabójczym tempie. W weekend przez Lizbonę i inne portugalskie miasta przeszły wielotysięczne manifestacje. Ludzie protestowali przeciwko cięciom i domagali się dymisji centroprawicowego rządu. Portugalczycy uważają, że rząd spełnia unijne wymogi, ale przy tym nie dostrzega społecznych konsekwencji. Poza tym Grecja, choć nie tak skrupulatna jak Portugalia, ma podobną obniżkę stóp procentowych. Czy opłaca się więc szanować zasady trojki, pytają Portugalczycy. A ich rozczarowanie – podlane sosem z Włoch, gdzie oddolny i niedoceniany Ruch Pięciu Gwiazdek Beppe Grillo wszedł z 25-proc. poparciem do parlamentu (czytaj s. 44) – z tygodnia na tydzień jest coraz większe.



Zmarło dziecko. Dominika, lat 2,5. Chorowała na infekcję wirusową. Zmarła z powodu obrzęku mózgu, zapalenia mięśnia sercowego i innych pogrypowych komplikacji. Zostały gazety pełne zdjęć uśmiechniętej dziewczynki i zmasakrowanych cierpieniem rodziców. I poruszenie w przychodniach pediatrycznych – w poniedziałek rano łatwiej było wcisnąć dziecko bez kolejki.

Rodzice Dominiki korzystali z systemu medycznego standardowo. Czyli najpierw lekarz pediatra w rejonowej przychodni, który dał antybiotyk. Taki lekarz leczy dzieci, które mają numerki. W małych ośrodkach – jeszcze do zdobycia o tej porze roku, ale trzeba dziecko dowieźć, bo lekarze nie chcą jeździć po wsiach pekaesem. W dużych miastach numerków na początku marca zwykle nie ma – lekarze są zatrudnieni na etatach przez cały rok, a choroby intensywniej atakują zimą, wiadomo.

Jeśli numerków brak, jest jeszcze nocna pomoc medyczna. Zakontraktowana przez marszałków województw w publicznych bądź prywatnych przychodniach. Tam też należy dowieźć dziecko, więc ci z miast są w lepszej sytuacji. Trzeba odsiedzieć swoje, między ludźmi, którym skoczyło ciśnienie, którzy mają kleszcza albo obrzęk stopy. W miastach to zwykle tłum. Więc ci z miast z chorym dzieckiem mogą nie wysiedzieć. Rodzicom Dominiki zepsuł się samochód. Próbowali wezwać lekarza do domu. Teoretycznie jest taka możliwość. Usłyszeli: co z tego, że lekarz dojedzie w środku nocy, skoro może jedynie wypisać receptę, której oni w nocy i tak nie wykupią.

Dziecko to pacjent szczególnie. W przypadku niemowlęcia jednego dnia nie ma nawet zapalenia oskrzeli, a następnego może być zapalenie płuc. A kilkugodzinne opóźnienie w podaniu antybiotyku robi istotną różnicę. Część rodziców wybiera więc opcję: szpital. Oddział pediatryczny. Zasiadają w poczekalni pełnej leżących się przez ręce maluchów, wymiotujących, wzajemnie na siebie kaszlących. A lekarze sztorcują ich potem, że włoką dzieci między rotawirusy, które powodują wyniszczające biegunki z wymiotami – akurat w szpitalach generują one wyjątkowo zjadliwe szczepy. Że to nieodpowiedzialność. I że raczej powinni byli wyblagać ten numerkę w przychodni.

Jest jeszcze pogotowie. Dyspozytor zwykle stara się przede wszystkim zniechęcić i przekierować do nocnej opieki medycznej. Raport NIK ujawnił, że pogotowie nie jest w stanie obsłużyć rzetelnie wszystkich – za mało lekarzy, personelu, dyżurnych. Zresztą jeżdżą i tak tylko ratownicy, którzy najwyżej zrobią sztuczne oddychanie. W tej historii karetka się zepsuła.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że powinna tu zadziałać instytucja lekarza rodzinnego. Takiego, który zna rodzinę – dorosłych oraz dzieci, zna historie chorób, predyspozycje, więc potrafi także ocenić sytuację na podstawie nocnej, telefonicznej konsultacji. W niektórych miastach, jak w Warszawie, ten system nie zadziałał w ogóle. Tylko połowa Polaków zna swojego lekarza rodzinnego. Reszta krąży.



Gdzie leży władza?

Niecierpliwość rośnie. Zwłaszcza niecierpliwość młodych stażem posłów opozycji. Na przykład poseł Andrzej Rozenek z Ruchu Palikota zakrzyknął: Platforma się rozpada, wiekowy Kaczyński nie ma nawet siły, by rządzić, władza leży na ulicy! I, zdaniem Rozenka, chce ją wziąć Kwaśniewski, a przynajmniej powinien, i dlatego się z Palikotem sprzymierzył. O tej leżącej władzy słyhać od kilku tygodni, a może nawet dłużej. Dla takiej partii jak Prawo i Sprawiedliwość ona od dawna jest w rękach tak bardzo niewłaściwych, że być może lepiej, aby leżała na ulicy, skąd można byłoby ją po prostu wziąć. A tak trzeba, niestety, dopiero uruchamiać ulicę, o co wspólnym wysiłkiem postarają się o. Tadeusz Rydzyk (właśnie ogłosił, że 300 tys. ludzi to mało, do stolicy powinien przysięć milion, może dwa, najlepiej zresztą, aby przyszedli wszystkie miliony Polaków) oraz Piotr Duda, nieugięty zwolennik społecznego dialogu, którego rząd oczywiście z nim nie prowadzi. Nie widać bowiem szans, by już w tym tygodniu wziął władzę prof. Piotr Gliński, którego techniczny rząd musi obradować na razie w salach partyjnych, choć na wzór rządowych przystrojonych.

Jan Koza

Gdzie zatem leży ta władza i jak się rzecz ma z diagnozą posła Rozenka? Otóż Platforma się jednak nie rozpada, można nawet powiedzieć, że raczej się konsoliduje. W każdym razie okazało się, że frakcji konserwatystów, na którą prawica i jej dziennikarscy akolici tak liczyl, praktycznie nie ma. Rozpieczętowała się, kiedy tylko Jarosław Gowin, potencjalny lider, zdecydowanie zbyt ostro natarł na premiera. Nawet poseł Żalek nie chce już nigdzie odchodzić, a szkoda. Minister Gowin został sam i jeszcze musiał kolejny weekend oczekiwać na decyzję premiera w sprawie swojego dalszego pobytu w rządzie. A premier Tusk, jak to ma ostatnio w zwyczaju (dla niektórych – irytującym), potrzymał wszystkich w niepewności, po czym Gowina w rządzie zostawił. Upadł tym samym mit o głębokim pęknięciu w PO. Pęknięcia, owszem, są, ale biegną wedle zupełnie innych – najczęściej wyznaczanych frustracją, a nie ideologią – linii. W PO nastąpiło jednak przyspieszenie, na razie w sprawie wyborów w partii, aby ustalić, gdzie tu jest władza. Choć tak naprawdę nikt nie ma wątpliwości, że znajduje się ona bezpiecznie w rękach Tuska, byłoby dobrze, aby Grzegorz Schetyna też spróbował o nią powalczyć, a wtedy okaże się, czy ma poważną frakcję, czy tylko dwór klakierów. Może i Gowin wreszcie na poważnie wystartuje? Lepiej konkurować, niż spiskować i słać kolegom esemesy: Nie pękam!

Nie ma lepszego sposobu weryfikowania siły i ambicji liderów niż wewnątrzpartyjne wybory, tym bardziej że mają być podobno powszechne. Takie jak w SLD. Tam jednak nikt nie miał odwagi stanąć do konkurencji z Leszkiem Millerem, a więc zagadką było, czy Miller zdobędzie poparcie 90 proc. głosujących, czy może 99 proc. Ciekawe, jak będzie w PO, bo kiedy pojawia się dwóch, a może i trzech kandydatów, progi ulegają obniżeniu. Nic nie wskazuje jednak, aby Platforma mogła zostać „partią Schetyny”.

Pomysł, żeby on był szefem partii, a Tusk premierem, co ostatnio Schetyna ogłosił, nie wydaje się możliwy do realizacji. To Jarosław Kaczyński lubi działać *per procura* (a to Marcinkiewicz, a to Gliński, choćby i na niby), Tusk zdecydowanie woli być bardziej samodzielny. Ale jako bodziec być może Schetyna zadziałał, bo premier wziął się do porządków we własnej partii, która, nie ma co ukrywać, raczej jest słaba i mało waleczna, choćby w porównaniu z takim PiS.

Wracając do diagnozy posła Rozenka. Kaczyński nie jest aż tak wiekowy, by nie mieć sił do rządzenia. W partii rządzi skutecznie, pomysł z Glińskim też nie okazał się w rezultacie aż tak śmieszny, jak to wyglądało na początku. W każdym razie szkody nie przyniósł, a może nawet dał jakieś drobne profity, bo zawsze lepiej niż o smoleńskiej brzozie mówić o bezrobociu czy rodzinie, nawet jeśli wypowiedzi ekspertów mają się nijak do rzeczywistości. Miło posłuchać, że można dostać tysiąc złotych na każde dziecko, i to do 18 roku życia. Zresztą brzoza zupełnie samodzielnie ma się dobrze: właśnie pokazano wyniki sondażu, że już 33 proc. ankietowanych wierzy, że mógł być zamach. Czyli brzoza nawet poparcia parapremiera Glińskiego nie potrzebuje i to, że PiS może wygrać wybory, przyjmuje się już jako rzecz dość oczywista. W każdym razie sprawa jest otwarta.

Co więc ma wziąć Aleksander Kwaśniewski uzbrojony w Palikota i Siwca? Wydaje się, że nie jest w stanie nawet wziąć SLD, bo Miller twardo się opiera i ma na czym. Wszystkie badania opinii społecznej pokazują, jak bardzo bałamutne jest twierdzenie, że Sojusz wyborczo zagospodarowuje wyłącznie jakieś resztówki po PRL, w wieku 60 plus. Otóż ta partia najsilniejsza jest dziś wśród wyborców między 40 a 50 rokiem życia, zupełnie nieźle ma się w grupie od 30 do 40 lat, najslabiej wypada wśród młodych poniżej 25 roku życia, gdzie mocniejszy jest Palikot. Problem w tym, że ci najmłodszy najrzadziej głosują, a ponadto elektorat Palikota we wszystkich grupach słabnie. Jakby się rozmywał. Czy tych 13 wspaniałych, którzy mają zająć „jedynek” w wyborach do Parlamentu Europejskiego na liście Europy Plus, zwanej do niedawna Listą Kwaśniewskiego, na tyle oszołomi i uwiedzie wyborcę, że powstanie nowa polityczna jakość? Na razie potencjalni kandydaci albo się wykruszają, albo taktycznie milczą, czekając na jakieś pomyślniejsze sondaże. Entuzjastycznego poparcia nie ma, bo jakoś wstyd się jednak przyznać, że to chodzi głównie o ten dobrze płatny mandat europosła. Być może potrzebne więc będzie „nowe otwarcie”. Nowe otwarcie w naszej polityce mają sporą tradycję, choć na ogół rozczarowują. Może jednak Kwaśniewski z Palikotem przełamują tę nie najlepszą passę? Na razie władza nie leży na ulicy, trzeba się będzie jeszcze solidnie napracować, aby ją przejąć.



© JAN KOZA

O zdrowy rozród narodu

Ewa Wilk

komentarz

Prezident chce ulżyć podatkowo rodzinom z dziećmi. Wysłał sygnał, że on również myśli o tym, o czym myślał PiS, ogłaszając niedawno projekt tzw. stypendium demograficznego (po 1 tys. zł co miesiąc na każde dziecko). PiS pewnie rozbawił ministra finansów; prezydentowi odpowiedziano dyplomatycznie poprzez rzecznika, że się zobaczy, czy państwo stać na jego pomysł. Pytanie, co właściwie politycy mają na myśli, naciskając po raz kolejny klawisze z napisami „rodzina” i „demografia”? Chce się wciąż wierzyć, że to nie tylko rytualny motyw dla przypochlebiania się wyborcom. Że chodzi o autentyczny fraszunek o kondycję społeczeństwa, które nie chce się rozmnażać tak, by w przyszłości młodzi dali radę wspierać starych.

Kto dziś stwarza nadzieję, że szybko mógłby być przy nadziei? Dwie oddalone od siebie kategorie młodych ludzi. Tam, gdzie wykształciło się dziedziczne, nawykowe bezrobocie, a organizacja życia polega na sprawnym podwieszeniu się pod pomoc społeczną, dzieci rodzą się (często jeszcze dzieciom) bez planu, bez namysłu, a z becikowym prokreacją idzie tylko żwawiej. Podatek jest tam kategorią abstrakcyjną; stypendium demograficzne – oho, ho – skutki mogą być imponujące. Tyle że jeśli państwo nie zajmie się wyciąganiem dzieci z tych światów nicnierobienia, żadne z nich nikogo nigdy nie wesprze. Tam chorobą jest raczej rozrodcza

nadaktywność, którą trzeba by okiełznać antykoncepcją i wychowaniem seksualnym.

Na przeciwnym biegunie mamy większość 20-, 30-, 40-latków – lepiej lub gorzej, ale wykształconych, ambitnych, odpowiedzialnych. Z czego wynika reprodukcyjna anemia tych młodych ludzi? Z braku poczucia bezpieczeństwa i kontroli nad własnym życiem. Boją się o pracę, bo albo jej nie mają, albo im młodszy, tym częściej wyjęci są poza jakąkolwiek cywilizowaną ochronę pracowniczą. Boją się braku czasu; realnie mogą poświęcić rodzinie jego skrawki. Drżą w niewoli franka szwajcarskiego, jeśli w ogóle zdobyli dach nad głową. Boją się o rodziców oczekujących wsparcia. O swoją przyszłość, bo straszy się ich, że emerytur raczej nie doczekają. Wreszcie – o własną, kruchą, młodą rodzinę. Nowe, partnerskie role kobiet i mężczyzn ledwie zaczęły się ucierać, więc duża część związków trzeszczy w szwach. I pęka. Gdy pojawia się dziecko, nadchodzi pierwszy i często ostatni kryzys. Nierzadko brutalny i dewastujący rozwód. Ludzi wpędzonych w lata przez rozmaite stresy i traumy goni w końcu biologia. A więc badania prenatalne (coraz trudniej dostępne), in vitro (aż strach znów zaczynać).

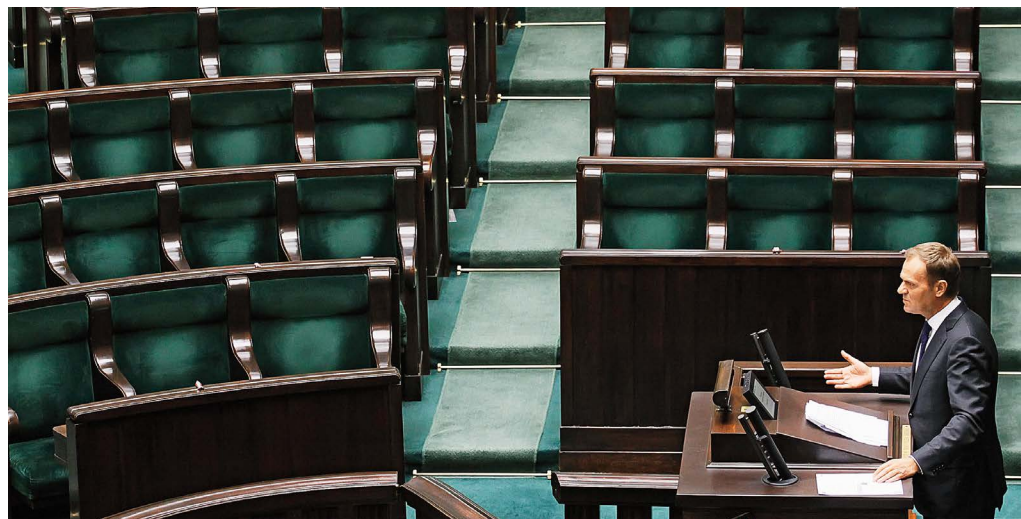
Polityka społeczna powinna być synchroniczną operacją w wielu rejonach obolałego organizmu. Pieniądze, owszem, przydadzą się każdej rodzinie z dziećmi. Ale czy są lekarstwem – bez niczyjej pomocy – na anemię rozrodczą? Wątpliwe. To jakby choremu aplikować tran, gdy trzeba mu dotoczyć krwi i postawić na nogi.



Zapracować na dniówkę

Ten obrazek zna każdy sejmowy sprawozdawca – dzwonek wzywa posłów na głosowania, a ci raczej niespiesznie się na nie zbierają. Wrażenie to potwierdzają liczby: frekwencja na pierwszych pięciu głosowaniach jest znacząco niższa niż w późniejszych. – *W pierwszym głosowaniu uczestniczy średnio ponad 20 posłów mniej niż w szóstym-siódym* – pokazują dane stowarzyszenia Mam Prawo Wiedzieć, które monitoruje pracę posłów. Pięciu najbardziej spóźnialskich posłów to: Andrzej Piątak z Ruchu Palikota (opuszcza 34 proc. pierwszych głosowań), Jacek Tomczak (PO), Ludwik Dorn (Solidarna Polska), Adam Rybakowicz (Ruch Palikota) oraz Małgorzata Gosiewska (PiS).

Jeden blok to średnio ok. 50 głosowań. I najwyraźniej są nużące – pod koniec frekwencja znów spada, bo kilkunastu posłów wychodzi z sali. Piątką posłów, którym się



© ADAM GUZ/REPORTER

najbardziej spieszy, to: Mieczysław Golba (Solidarna Polska), **Donald Tusk** (PO), ponownie Andrzej Piątak, Jerzy Żyżyński (PiS) i Krystyna Tybacka z SLD. **M**arszałkowie znają te nawyki posłów i nieprzypadkowo ustalają kolejność głosowań. – *Szczególnie ważne głosowania marszałek wyznacza zwykle na początku bloku głosowań, ale nie jako pierwsze, drugie czy trzecie. Potrzeba trochę czasu, by posłowie się zeszli* – mówi

POLITYCE Marek Borowski, były marszałek Sejmu. W sumie frekwencja w głosowaniach jest i tak bardzo wysoka, bo przekracza 90 proc. Ale poza troską o jakość prawa stoją za tym czasem przyziemne racje. – *Posł musi uczestniczyć w 80 proc. głosowań, żeby nie stracić dniówki, czyli ok. 300 zł* – wyjaśnia Borowski. – *To bywa problem, gdy ktoś umówił się np. w telewizji, zakładając, że głosowania pójdą sprawnie, a potem okazuje się,*

że jest awantura i głosowania się opóźniają. Wtedy biedaczysko liczy, czy ma już te 80 proc., żeby nie stracić kasy.

Stowarzyszenie Mam Prawo Wiedzieć sprawdziło też, jak głosują poszczególne kluby. Najwyższą frekwencją w sejmowych głosowaniach może się pochwalić PO – jej posłowie biorą udział średnio w 98 proc. głosowań. Najmniej zdyscyplinowany jest SLD (89 proc.).

(WBS)

Sukces zaczyna się od marzeń

Od wielu lat wspieramy polskie narciarstwo, bo wierzymy, że dzięki właściwej pomocy nawet najśmielsze marzenia mogą zostać zrealizowane. Tym bardziej cieszą nas sukcesy naszych skoczków i biegaczy narciarskich, bo pokazują nam, że nasze wysiłki i działania mają sens.

**Gratulujemy naszym Mistrzom zdobycia
złota, srebra i brązu na Mistrzostwach Świata!**



GENERALNY SPONSOR
POLSKIEGO NARCIARSTWA



Otwarci na przyszłość

Kup książkę

To jedyne globalne mocarstwo, którego ambicje nie są ograniczone przez obywateli i narodowe interesy. Na kilka dni przed wyborem swojego 266 papieża Kościół katolicki, mimo skandali seksualnych, problemów finansowych i ateizującej się Europy, jest silny jak nigdy.

Imperium Vaticanum



ŁUKASZ WÓJCIK

W najbliższych dniach w Watykanie spotka się na konklawe zarząd Kościoła katolickiego, aby wybrać kolejnego papieża i przy okazji debatować nad globalną strategią tego przedsięwzięcia. Skład światobliwego grona jest wysoce niedemokratyczny. Na każdego z 19 przedstawicieli Ameryki Łacińskiej przypada aż 22,4 mln katolików z tego kontynentu, podczas gdy każdy kardynał Europejski reprezentuje zaledwie 6,3 mln wiernych, nie mówiąc już o 28 purpuratach z 49-mln społeczności włoskich katolików. Dorzucając do tego fakt, że Filipińczycy (76 mln wiernych) i Egipcjanie (140 tys.) będą mieli po jednym elektorze, całe to spotkanie w Kaplicy Sykstyńskiej może się wydawać niedemokratycznym skandalem.

Bez wątpienia Europa rządzi w Kościele katolickim, nie tylko na mocy prostej statystyki – ze Starego Kontynentu pochodzi 61 ze 117 kardynałów uprawnionych do głosowania, choć Europejczykiem jest tylko co czwarty ka-

tolik. Stary Kontynent ma również przewagę pod względem wieku – przeciętny kardynał Europejski jest 6 lat młodszy od nie-Europejczyka, co oznacza, że również podczas następnego konklawe, choć nad zebranymi znów będzie górował Duch Święty, to i tak ostatnie zdanie będzie należeć do Europejczyków.

Jan Paweł II wielokrotnie podkreślał, że w Kościele nie ma miejsca na demokrację, bo przecież nie można głosować nad prawdą. Przestrzegając również, aby nie mylić konsensu z *sensus fidelium*, czyli z wyczuciem spraw wiary, dostępnym tylko całemu Kościołowi. Ten brak demokracji jest dla *Imperium Vaticanum* jeszcze większym atutem z geopolitycznego punktu widzenia. Papież Jan XXIII w 1961 r. w setną rocznicę zjednoczenia Włoch dziękował Opatrzności, że Watykan nie ma terytorium do obrony i obywateli do wysłuchania. Dzięki temu Kościół katolicki, który re-



Plac św. Piotra w Rzymie

© VANDEVILLE ERIC/BACA/EAST NEWS

zyduje w Watykanie, może poświęcić się swoim długofalowym strategiom, bez zwracania uwagi na nastroje społeczne, które w innych mocarstwach często ograniczają perspektywy rządzących do jednej kadencji.

Jak twierdzi włoski ekspert od geopolityki prof. Manlio Graziano, tylko cztery mocarstwa prowadzą dziś prawdziwie globalną i długofalową politykę: USA, Chiny, Unia Europejska i Watykan. Amerykanie za wszelką cenę chcą utrzymać swoją pozycję hegemonu, Unia w dalszym ciągu jest tylko zlepkiem poszczególnych interesów, głównie Francji i Niemiec, Chiny natomiast kryją się ze swoją strategią, choć kolejne jej etapy są coraz bardziej widoczne. Wszystkie te mocarstwa mają to samo poczucie uniwersalnego przeznaczenia. Również Watykan, który tak jak Francja i Niemcy chciałby zjednoczyć Europę pod swoim sztandarem, tak jak Ameryka chce być ważnym graczem na wszystkich kontynentach i tak jak Chiny nie ujawnia wszystkich swoich

planów. Nad wszystkimi tymi mocarstwami Watykan ma jednak zasadniczą przewagę – nie ma dywizji.

Papież i kardynałowie nie stoją na czele państwa sensu stricto, nie muszą się więc nikomu tłumaczyć ze swoich planów, co pozwala im realizować polityczne strategie, które na krótką metę mogą być fatalnie odbierane przez część wiernych, jednak zdaniem hierarchów są niezbędne dla trwania Kościoła w perspektywie co najmniej kilkadziesiąt lat. Kościół nie ma też praktycznie własnego terytorium, w tym sensie nie jest już stroną w relacjach z innymi państwami, nie musi tu brać pod uwagę swoich partykularnych interesów, jak to miało miejsce przed 1870 r. za czasów Państwa Kościelnego. – *Efekt jest taki, że dziś Watykan, oswobodzony z obywateli, terytorium i działający w zupełnie innej perspektywie czasowej, na poziomie globalnym odgrywa rolę, na jaką nie stać żadnego państwa* – twierdzi prof. Graziano. Tym bardziej więc nie stać innej religii, dlatego w trakcie ostatniego pontyfikatu Watykan strategicznie ignorował konkurencyjne wyznania, skupiając się na licznych własnych bolączkach.

Puste kościoły, spadek powołań, oderwanie od społecznych kłopotów – te problemy Kościoła katolickiego są poważne, ale tylko

w określonej perspektywie geograficznej i czasowej. Puste kościoły to zjawisko ograniczone w zasadzie do Europy Zachodniej, marginalne w Afryce czy Ameryce Łacińskiej. Z kolei jeszcze 40 (Europa Zachodnia) lub nawet 20 lat temu (Polska) Kościół miał zupełnie inną pozycję społeczną. Z perspektywy kolejnych 40 lat kryzys ten może się okazać niuanssem, a obecne lata okresem największego triumfu *Imperium Vaticanum*.

Historycznie każde mocarstwo o globalnych ambicjach miało dwa zasadnicze cele: objąć swoim panowaniem jak największą część ludzkości i uszczęśliwić ją na swój, czasem bardzo oryginalny sposób, nawet wbrew jej woli. Cele Kościoła katolickiego tylko nieznacznie odbiegają od tego schematu – zgodnie z wolą swojego założyciela niesie on misję ewangelizacyjną „wszystkim narodom” (Mt 28:19). Zależy mu więc, aby jak najwięcej ludzi stało się jego członkami przed końcem „zawodów”, czyli przed dniem Sądu Ostatecznego. Wszyscy ci ludzie muszą jednak zaakceptować pewien model szczęśliwości wynikający z zasad wiary, który według Kościoła da im zbawienie. Model ten nie jest łatwy do zaakceptowania, na dodatek jest zupełnie dobrowolny, a mimo to ze wszystkich mocarstw w historii Kościół katolicki jest dziś najbliżiej spełnienia swoich globalnych celów.

W 1900 r. do katolicyzmu przyznawało się 266 mln ludzi na świecie, dziś – niemal 1,2 mld. To wzrost o mniej więcej 314 proc., podczas gdy w tym samym czasie globalna populacja zwiększyła się o 263 proc. Sukces ten najbardziej widoczny jest w Afryce, tam w ciągu ostatnich 110 lat wspólnota katolicka rozrosła się z 1,9 mln do 177 mln wiernych. Jednocześnie po latach kryzysu poprawia się liczba powołań kapłańskich. W 1970 r. było ich globalnie 4622, w 1980 r. już tylko 3860, ale w 2000 r. liczba ta prawie podwoiła się (6814) i stale rośnie na wszystkich kontynentach, oprócz Europy. W ostatniej dekadzie liczba wszystkich księży zwiększyła się z 405 do 410 tys., głównie z powodu licznych święceń w Azji i Afryce.

Tu jednak daje o sobie znać watykańska geopolityka. Nawet w Afryce i Azji powołania kapłańskie nie nadążają za przyrostem wiernych, w dużym stopniu dlatego, że Watykan ściąga tamtejszych księży do pracy w Europie. Na przykład do Francji, w której – mimo 38-mln społeczności katolickiej – w 2012 r. wyświęcono zaledwie nieco ponad setkę kapłanów (w latach 50. co roku przybywało ►

► ich ponad tysiąc). Księża z Azji i Afryki stanowią też już ponad 10 proc. duchownych w takich włoskich regionach, jak Toskania, Umbria czy Abruzzo. W Lazio, gdzie leży Rzym, takich imigrantów jest już grubo ponad 20 proc. Efekt? Prawie 70 proc. wszystkich księży pracuje dziś na północnej półkuli, podczas gdy ok. 70 proc. katolików żyje na półkuli południowej.

Strategia importowania księży do Europy była priorytetem zarówno Jana Pawła II, jak i Benedykta XVI.

Obaj przekonywali już w latach 80., że żaden nowy projekt ewangelizacyjny nie wypali, jeśli nie będzie miał swoich źródeł w Europie.

Chryścianizacja Azji jest więc niemożliwa bez wcześniejszej rechrystianizacji Starego Kontynentu. Hans Küng, znany katolicki teolog, od lat w sporze z Watykanem, pisał kilka miesięcy po wyborze Benedykta XVI, że nie sposób dziś ocenić, czy ta strategia zadziała, ale nie ma innej organizacji na świecie, która poświęciłaby 70 proc. swoich „klientów” dla pozostałych 30 proc., którzy w dodatku są coraz mniej zainteresowani jej ofertą.

Ten mechanizm działa jednak również w drugą stronę. Kościół katolicki w kilku sprawach okopał się na stanowiskach zupełnie nie do przyjęcia dla większości Europejczyków, sprzeciwiając się na przykład legalizacji związków homoseksualnych w jakiegokolwiek formie. Znowu decyduje o tym geopolityka i poglądy sporej części 70 proc. wiernych z drugiej półkuli. Sprzeciw w tej sprawie w krótszej perspektywie uspokaja konserwatywną większość, bo uznanie postulatów par homoseksualnych mogłoby oznaczać zerwanie z Kościołem chociażby wielu katolickich wspólnot w Afryce.

W dłuższej perspektywie Watykan wypełnia apel zawarty przez Pawła VI w czasie europejskiej rewolucji seksualnej w encyklice „Humanae Vitae” z 1968 r. o „wielkim obowiązku przekazywania życia”. Według amerykańskiego politologa Johna Agnewa, Kościół już pół wieku temu uznał, że ze względów demograficznych jego bazę, Stary Kontynent, czeka unicestwienie, jeśli na ostrzu noża nie postawi całej gamy spraw reprodukcyjnych, czyli właśnie promowania „tradycyjnej rodziny”, sprzeciwu wobec aborcji i antykoncepcji. Hans Küng dodaje tu, że można się oczywiście zżymać na takie stanowisko Watykanu, ale jeszcze nikt nie przedstawił alternatywnego planu ratowania wymierającej Europy.

Konsekwencją tej geopolitycznej strategii jest również polityka Watykanu wobec imigrantów. Katolicy hierarchowie tłumaczą, że Kościół w tej sprawie przyjmuje do wiadomości trzy niezaprzeczalne fakty. Po pierwsze, Europa fizycznie nie jest w stanie powstrzymać napływu imigrantów. Po drugie, ze względu na zapas demograficzną są oni już dziś niezbędni dla europejskiej gospodarki. I po trzecie, imigranci już teraz wywołują ogromne napięcia społeczne w Europie. Dla demokratycznych rządów jest to problem nie do rozwiązania, bo jeśli zrobią to, co niezbędne z gospodarczego punktu widzenia, rychło mogą stracić władzę w wyniku niezadowolonych turybłców. Kościół katolicki może natomiast popierać prawa imigrantów, nie narażając się na wyborczą porażkę. Taka polityka w dłuższej perspektywie przysłuży się Kościołowi, bo imigranci z krajów rozwijających się będą zasilali szeregi wiernych i wzmacniać jego pozycję, tak jak to już dziś dzieje się w USA.

Wszystkie powyższe strategie byłyby nie do zrealizowania, gdyby nie katolicka centralizacja. Konflikt wpisany jest w strukturę Kościoła chociażby dlatego, że krajowe

Czy chiński papież nie byłby zbyt rewolucyjnym rozwiązaniem dla Watykanu? Niewiele bardziej niż wybór Karola Wojtyły w 1978 r.

episkopaty funkcjonują w bardzo różnych społeczeństwach i podejmowanie takich tematów, jak homoseksualizm czy anty-koncepcja, podnosi ryzyko dezintegracji Kościoła. Watykan jednak stoi na stanowisku, że pozwolenie na większą samodzielność episkopatów szybko przekształciłoby Kościół w luźną federację, a pozycja papieża stałaby się czysto ceremonialna – taka, jaką ma dziś patriarcha Konstantynopola.

Wobec takiej groźby dezintegracji stanął Kościół podczas I wojny światowej, w której przeciw siebie znalazły się trzy arcykatolickie kraje Europy: Austro-Węgry, Włochy i Francja. Ówczesny papież Benedykt XV postanowił bronić się za po-

mocą dyplomacji: nakazał episkopatowi tych państw zażegnanie swoich rodaków do wysiłku wojennego, sam natomiast nieustannie apelował o pokój i zaprzestanie tej „bezsensownej masakry”. Dziś wszyscy pamiętają go niemal wyłącznie jako anioła pokoju. Po wojnie starania Benedykta doceniły kraje walczące. Francja uznała w końcu katolicką strukturę diecezjalną, a kapelani wprowadzili się do koszar francuskiej armii, do szpitali i szkół publicznych. W najważniejszych państwach Europy do polityki weszli ludzie blisko związani z Kościołem, którzy głęboko zaangażowali się w niemiecko-francuskie pojednanie. To z tego pokolenia pochodził Jean Monnet, ideowy ojciec Unii Europejskiej. Do dziś ta wojenna dyplomacja Benedykta XV dawana jest amerykańskim studentom za przykład genialnej geopolityki, prowadzonej bez użycia dywizji.

Dla geopolitycznej jedności Kościoła nowy papież może być równie ważny jak Benedykt XV.

Szczególnie jeśli zostanie nim ktoś spoza Europy. Zwycięstwo jednego z faworytów, kardynała Petera Turksona, syna stolarza z Ghany, na poziomie symbolicznym byłoby aktem uznania dla najszybciej rozwijającej się społeczności katolickiej (w 2025 r. w Afryce będzie ok. 640 mln katolików – tyle co w Ameryce Łacińskiej). Byłby to jednocześnie akt przyjęcia wojny, którą radykalny islam wypowiedział chrześcijanom z Afryki Subsaharyjskiej. Obawy może jednak budzić luźne podejście afrykańskiego duchowieństwa do teologii, a przede wszystkim do zasady celibatu. Dla wielu europejskich episkopatów nie do przyjęcia może też się okazać radykalny konserwatyzm społeczny afrykańskich katolików. Sytuacja geopolityczna może też podpowiadać kandydata z Ameryki Łacińskiej, czyli z najbardziej katolickiego dziś kontynentu, na którym jednak Kościół powoli ustępuje pola prężnym i bogatym wspólnotom zielonoświątkowców.

Najbardziej ryzykowny, choć być może też najbardziej dalekowszyczy, byłby wybór Azjaty. Dziś zaledwie 5 proc. mieszkańców tego kontynentu jest katolikami, ale – według Davida Aikmana, autora bestsellerowej książki „Jesus in Beijing” – przy obecnym wzroście liczebności katolików, w ciągu trzech dekad Chiny zostaną schryścianizowane. „Nie będzie dużym zaskoczeniem, jeśli w niedalekiej przyszłości Pekin spróbuje zastąpić skompromitowaną komunistyczną ideologię innym balsamem. A Watykan może zaoferować wyciszenie konfliktów społecznych w zamian za autonomię. Skorzystałby na tym obiet strony” – pisze Aikman. Czy chiński papież nie byłby zbyt rewolucyjnym rozwiązaniem dla Watykanu? Niewiele bardziej rewolucyjnym niż wybór Karola Wojtyły w 1978 r., a być może równie genialnym geopolitycznie.

ŁUKASZ WÓJCIK

SONY

make.believe

odkryj Xperia™ Z - owoc precyzji Sony w smartfonie

Elegancka i wytrzymała Xperia™ Z to jedyny wodoodporny smartfon w swojej klasie. Odkryj Sony Xperia™ Z.

BE MOVED



XPERIA



Jeśli oczekujesz więcej niż rozmów bez ograniczeń do wszystkich, wybierz promocję **Więcej za Mniej w Orange dla Firm**.

Zyskaj smartfon **Sony Xperia™ Z** za **1 zł + VAT**

w abonamencie za **199 zł + VAT** lub **249 zł + VAT** oraz:

- pakiety minut w roamingu lub na rozmowy międzynarodowe,
- usługę Orange Hotspot,
- bezpłatną comiesięczną wymianę usług w abonamencie.

Szczegóły w regulaminie promocji Więcej za Mniej na www.orange.pl/dlafirm. Smartfon dostępny dla firm i klientów indywidualnych. Dostawcą oferty jest PTK Centertel Sp. z o.o.

Kup książkę

we współpracy z

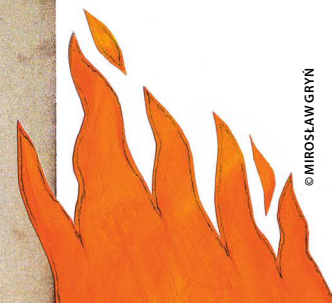


Wszyscy jesteśmy gejami



„W Sejmie homoseksualiści powinni siedzieć w ostatniej ławie. Albo nawet dalej. Za murem”. Gdyby powiedział to kibol albo ideolog radiomaryjnej prawicy, można by machnąć ręką. Ale te słowa wygłosił Lech Wałęsa – noblista, ikona Solidarności i globalny symbol pokojowej walki o wolność. Trzeba odpowiedzieć.

EDWIN BENDYK, JACEK ŻAKOWSKI



© MIROSŁAW GRYN

Sprawa jest poważna. Można się było spodziewać, że spór o związki partnerskie zaktywizuje hałaśliwą reprezentację radykalnie prawicowych środowisk homofobicznych. Okazało się, że odkrył pokłady uprzedzeń i ignorancji w środowiskach zwykle umiarkowanych. Ludzie zajmujący rozsądne stanowisko wobec praw człowieka, mówiąc o związkach homoseksualnych i homoseksualistach, nieoczekiwanie sięgają po argumenty urągające faktom, wiedzy i godności innych.

Polski spór o związki partnerskie to anachronizm zakorzeniony mentalnie w czasach, gdy zastanawiano się, czy kobiety mają zdolność racjonalnego myślenia i czy wobec tego powinny mieć nie tylko prawa wyborcze, ale też równe z mężczyznami prawo do władzy nad dziećmi, samodzielnego dysponowania majątkiem i decydowania, z kim zawrą małżeństwo. Żyją jeszcze ludzie pamiętający, że nie było to oczywiste. Tak jak dziś nieoczywiste dla wielu są prawa mniejszości seksualnych.

Tradycjoniści mają rację. Prawdziwym tematem i nieuchronnym finałem trwającego sporu jest to, czego najbardziej się boją – zrównanie mniejszości seksualnych w prawach z heteroseksualną większością. Nie tylko związki partnerskie, ale też jednopłciowe małżeństwa posiadające prawo do adopcji i wychowywania dzieci. Dlaczego nie?

David Cameron, konserwatywny premier Wielkiej Brytanii, nie miał wątpliwości, gdy całym swym politycznym autorytetem popierał w Izbie Gmin ustawę o jednopłciowych małżeństwach. Wiedział, że służy konserwatywnym ideom, realizuje politykę dobra publicznego i wzmacnia instytucję rodziny (tej

„podstawowej komórki społecznej”), uznając, że podstawą jej istnienia jest miłość dwóch osób. Nie tylko kobiety i mężczyźni.

Podobnie argumentują prominentni amerykańscy konserwatyści, sygnatariusze listu do Sądu Najwyższego, który w ubiegłym tygodniu podpisało ponad stu byłych bliskich współpracowników republikańskich prezydentów, oraz republikańscy gubernatorzy, senatorowie i członkowie Izby Reprezentantów, a nawet Clint Eastwood. Ich zdaniem jednopłciowe małżeństwa sprzyjają wartościom rodzinnym, bo umożliwiają dzieciom osób homoseksualnych wychowanie przez dwójkę rodziców. Sprzyjają też wartościom konserwatywnym, bo ograniczają ingerencję państwa w prywatne życie ludzi i poszerzają przestrzeń indywidualnej wolności.

Poparcie małżeństw jednopłciowych przez brytyjskich i amerykańskich konserwatystów nie powinno dziwić. W odróżnieniu od tradycjonalistów, obecnych we wszystkich formacjach ideologicznych od skrajnej lewicy po skrajną prawicę, konserwatyści nigdy nie mieli zachowawczego stosunku do instytucji, choć zwykle byli ostrożni. W epoce Bismarcka w Niemczech, w epoce wiktoriańskiej w Anglii, w Austrii Franciszka Józefa, nawet w Ameryce Busha konserwatyści przeprowadzali wielkie reformy społeczne, które tradycjoniści uważali za koniec świata.

We Francji do przyjęcia ustawy o małżeństwach tej samej płci doprowadzili z kolei socjaliści. Nie odwoływali się, oczywiście, do wartości konserwatywnych, lecz do zdobyczy rewolucji – praw człowieka i obywatela oraz do republikańskich cnót: wolności, równości, braterstwa. W Wielkiej Brytanii, w USA

i Francji opór stawili tradycjoniści. Nigdy ich nie zabraknie. Gilles Herrada tłumaczy to w wydanej w lutym książce „The Missing Myth. A New Vision of Same-Sex Love” (Brakujący mit. Nowa wizja miłości osób tej samej płci). Tradycjonalizm, będąc częścią wszystkich krajobrazów społecznych, zajmuje stanowiska aintelektualne i ahistoryczne.

Przez wieki w imię oczywistości i wyobrażonego naturalnego ładu bronili geocentrycznej wizji świata. Czy nie jest oczywiste i naturalne, że to Słońce krąży wokół Ziemi, skoro to tu Bóg ulokował człowieka, którego stworzył na swoje podobieństwo? Czyż nie potwierdzają tego święte księgi religii? Dziś podobnie, i z podobnym uzasadnieniem, tradycjonalizm broni swojej wizji rodziny. Właśnie wizji. Nie rzeczywistości.

Kategorią kluczową dla tradycjonalizmu jest odmowa uznania wszystkich, którzy do „tradycyjnej” wizji świata nie pasują. Lech Wałęsa odmawia uznania mniejszościom seksualnym, mówiąc, że „nie życzy sobie”, by mu sprawami homoseksualistów zawracano głowę. Ubiiera to w pozornie racjonalny argument, że są zaledwie kilkuprocentową mniejszością, która nie powinna zawracać głowy większości.

Zapomina, że sam należy do kilkuprocentowych mniejszości, którymi jednak większość musi się zajmować. Jako były stoczniovec, jako były polityk, jako założyciel fundacji, jako mężczyzna na emeryturze, jako osoba podlegająca lustracji, jako wędkarz, jako starszy pacjent z zaawansowaną chorobą krążeniową. Nawet nie próbuje wyjaśnić, dlaczego akurat mniejszość seksualna ma być niewidoczna w publicznej przestrzeni. Nie chodzi więc o mniejszość.

Chodzi o tradycję. Tradycjoniści nie godzą się na uznanie odmiennej wizji świata, bo to oznacza – jak wyjaśnia Herrada – załamanie się mitu, rujnuje kosmiczny porządek oparty na nieustannym powtarzaniu tej samej fikcyjnej opowieści i podtrzymywaniu wiary w jej realność. Na przykład, że dzieci pochodzą z małżeństw.

Homofobia jest produktem lęku racjonalizowanego pojęciem tradycyjnej kultury, tradycyjnej rodziny, naturalnego ładu, w którym homoseksualizm jest wynaturzeniem. Im czasy bardziej niepewne, tym ten lęk jest silniejszy. W czasach niepewnych akceptacja rodzin jednopłciowych budzi grozę i apokaliptyczny strach. Kultura jest zagrożona! Cywilizacja chyli się ku upadkowi! Trudno o lepszy dowód na kryzys Europy.

Co czeka Stary Kontynent, gdy otwiera się będzie na kolejne „dewiacje”? Już się wyludnia, maleje liczba małżeństw, młodzi nie chcą się rozmnażać, interesuje ich tylko seks dla

przyjemności i hedonistyczne używanie życia bez brania odpowiedzialności. Najbardziej wrzaskliwym wyrazem tej kultury ma być subkultura gejowska, dosłownie bezpłodna i swą bezpłodnością zarażająca społeczeństwa nie tak dawno słynące z wigoru i ekspansywności. A już teraz metropolie niedawnych imperiów przekształcają się w skanseny odwiedzane masowo przez nową klasę średnią z Azji.

Lęki są prawdziwe. Nie można ich bagatelizować. Nie są jednak prawdziwe ich źródła. Niecała Europa zamienia się w skansen. Kilka krajów nieustannie znajduje się w światowej czołówce zamożności, gospodarczej konkurencyjności, kulturowej kreatywności, technologicznej innowacyjności i szczęścia obywateli. Nawet dzieci rodzi się w nich więcej niż gdzie indziej. Jakże to kraje? Tradycjonalistyczne? Jak katolicka Polska? Jak zachowawcza Italia? Jak nacjonalistyczne Węgry? Nie. Listę otwiera Dania, za nią jest Szwecja i Norwegia. Ich ekspansywności nie przeszkadza prawo do zakładania rodzin i wychowywania dzieci przez homoseksualistów. Ich dietności nie szkodzi prawo do aborcji, dostępność antykoncepcji, emancypacja kobiet ani wychowanie seksualne w szkołach.

Nie tam zagrożona jest cywilizacja, tożsamość, naród i przyszłość kultury, gdzie zmiany zaszły najdalej. Podczas kryzysu widać, że nie te kultury skazują się na upadek, które ulegają nieznanym wcześniej nurtom, lecz te, które nie umieją się zmieniać. Symptodem upadku nie jest siła subkultury gejowskiej. Jest nim siła tradycjonalizmu. A adaptację do wyzwań cywilizacyjnych blokuje homofobia prawicowych salonów i prawicowych mediów, prześcigających się w publicystycznym linczowaniu mniejszości seksualnych oraz epatowaniu nienawiścią do jakiegokolwiek inności, która burzy „tradycyjny” porządek.

Tradycyjny? A co by to znaczyło? Gdy tradycjoniści powołują się na „tradycyjną rodzinę”, wiadomo tylko, że nic takiego nigdy społecznie nie istniało. Wystarczy przekartkować monografię Emmanuela Todda „L'origine des systèmes familiaux” (Pochodzenie systemów rodzinnych), żeby się o tym przekonać. Rodzina zawsze istniała. Ale nigdy nie było żadnej czczonej przez tradycjonalistów „tradycyjnej rodziny”.

Po co powstała rodzina? Dla prokreacji? Przecież rozmnażać możemy się bez związków łączących ludzi do śmierci. Określa się rodzinę jako „podstawową komórkę społeczną”. Brzmi to strasznie, lecz sens jest głęboki. Znaczy, że rodzina jest pomostem między egzystencją indywidualną a zbiorową. Zadaniem społeczeństwa jest przetrwanie, czyli reprodukcja. ►

REKLAMA

Relaks
w prezencie

SITA.pl
Technika dla języka



Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

Urządzenie SITA
Pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (997 zł).

Kursy językowe SITA
Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (279 zł jedna część kursu).

SITA Sp. z o.o., Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3, 01-022 Warszawa

Oferta na urządzenie + cztery kursy
Oszczędzisz 300 zł

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl **22 636 90 91**